CENA 50 gr.

BŁYSKAWICA

CENA 50 gr.

ORGAN UCZENNIC I UCZNIÓW KOMUNAL. GIMNAZJUM KOED.

W ROŹDZIENIU. (GÓRNY ŚLĄSK) — WYCHODZI CO MIESIĄC.

PRENUMERATA:	Adres Redakcji i Administracji:	CENY OGŁOSZEŃ:
roczna: . . . . 5 zł.	Roździeń, p Szopienice	Cała strona — 20 zł.
półroczna . . . 2· 50	ul. 11 Listopada, Gimnazjum	pół strony — 10 zł.
kwartalna . 1· 50		ćwiartka — 5 zł.

Nr. 8 Roździeń, kwiecień 1930 r. Rok II

O HONOR CZAPKI UCZNIOWSKIEJ

Zołnierz, policjant, kolejarz, poczciarz czy inny fachowiec nosi specjalny dla swojej organizacji mundur, a do niego odpowiednią czapkę. Wszyscy oni, wykonywując swoje obowiązki, różnią się od innych. Żołnierz odznacza się tem, że jest dyscyplinowany, posłuszny, energiczny. Policjant tem, że zabiera podejrzane indywidua do komisarjatu i jest panem całą gębą, bo powiada, że jego nie ma kto zamknąć. Kolejarz posiada zdolność do robienia raportów za uszkodzone ramki, od biletów i jest z tego dumny, listonosz odznacza się tem, że przynosi listy o kilka dni zapóźno, panowie profesorowie zaś mają skłonność do stawiania niedostatecznych, a my uczniowie powinniśmy się odznaczać inteligencją, dyscypliną, skromnością, ażeby nie plamić czapki, którą nosimy.

Nie mam zamiaru prawić morałów, ani wypisywać utartych frazesów, ale chcę zwrócić uwagę na to, co robi t. zw. opinja.

My, jako uczniowie musimy trochę odmiennie zachować się od reszty społeczeństwa, które nas sądzi przeważnie bardzo surowo. Gdy jeden z nas coś przeskrobie panowie o genjalnych umysłach i łysych dostojnych głowach, którzy jeżdżą z nami koleją, powiadają:

— Ci uczniowie — to banda, zachowują się zawsze i wszędzie bezczelnie. Czy nie możnaby tej samowoli ukrócić? — Chociaż ten pan, czy owi panowie, którzy nic obecnie wspólnego ze szkołą nie mają, widzieli tylko jednego ucznia zachowującego się nieodpowiednio, to co im to szkodzi powiedzieć, że uczniowie to banda Taka drobna różnica: „uczeń“ a „uczniowie“, kilka liter zaledwie.

Takie rzeczy się zdarzają i takie zdania się słyszy. Taki pan przez to na wadze nie straci, ale my stracimy na opinji. Nie jesteśmy znowuż niewinnymi barankami idącymi na rzeź, ale nie jesteśmy w żadnym razie bandą, bo poważni panowie zachowują się od tych kilku niesfornych jednostek w pociągu nieraz gorzej, ale trudno, każdy sądzi drugiego, siebie samego osądzić nie potrafi, bo uważa się za ideał. Wszędzie, powiedziawszy stylem biblijnym, znajdzie się owieczka, która odłączy się od stada i pójdzie na manowce, ale to zdarza się wszędzie, nietylko w Piśmie św. Musimy jednak pokazać tym, co sarkają na nas, że honor naszej czapki potrafimy w całej rozciągłości utrzymać i w ten sposób zatamować wymowę niezadowolonych. Ale honoru nie utrzymamy, jeżeli będziemy chodzili w miejscach

publicznych z papierosem w ustach i pokazywali się w różnych niedozwolonych miejscach, bo to daje pole do wydawania o nas jaknajgorszej opinji, a tej złej opinji musimy się wystrzegać. Stańmy więc ponad wszelkie zarzuty z ust niekompetentnych pochodzące, dzierżmy wysoko sztandar szkoły średniej, sztandar przyszłej inteligencji i przyszłych obywateli państwa polskiego!

„CZARNY"

Z PROCHU POWSTAŁEŚ...

Ucichła dzisiaj muzyka wesoła —
Wszystkie ku ziemi schylają się czoła
I na wszech twarzach kreśli się skupienie.
Bo nie jednego zadręcza sumienie.
Dzisiaj powaga panuje w świątyni,
Każdy rachunek przewinień swych czyni
I każdy czeka z pochylonem czołem,
Aż kapłan krzyżyk zrobi mu popiołem.

„Mary"

O POSZANOWANIE INDYWIDUALNYCH POGLĄDÓW UCZNIA.

Szkoła jestto zbiorowisko wielu jednostek różnie myślących, a jeszcze odmienniej działających. Z bardzo pokaźnej ilości uczniów (względnie uczennic), wielu ma swoiste poglądy na różne zagadnienia. W klasach wyższych zachodzą nieraz bardzo poważne zagadnienia i problemy do rozwiązania względnie dyskusji, a na które niema ustalonych odpowiedzi. Otóż zdarza się, że jakiś uczeń (ennica) na zadane pytanie odpowiada zgoła rewelacyjnie. Pierwsze wrażenie oczywiście jest humorystyczne, wywołuje ironiczne uśmiechy i powoduje nieustanne wybuchy wesołości wśród koleżanek i kolegów. „Śmiech to zdrowie", a Mickiewicz przecież zdrowie uważa za jedno z najwyższych darów, kiedy mówi w „Panu Tadeuszu". — Litwo, Ojczyzno moja, Ty jesteś jak zdrowie". — Ale śmiech na miejscu, — to są kwartyny. Po kwartynach następują zwykle w rozsądniejszych głowach refleksje i wreszcie przyznać trzeba w duchu, że jednak zapytany nie odpowiedział tak głupio jakby się niektórym zdawało.

Nie zmierzam jednak do tego, żeby dowieść, że dany uczeń wypowiedział zdanie mądre i jest drugiem wydaniem Sokratesa, lub głupie i musiał być mieszkańcem Tworek, ale chodzi mi o pewne poszanowanie poglądów młodych głów, może czasem wewnątrz zielonych (szczególnie na wiosnę), ale i czasem trzeźwo myślących. Nie można chyba brać komuś za złe, jeżeli stara się myśleć i nie chce być jedną setną ale całością, nie typem, ale indywidualnością o własnych poglądach, patrzącągo na świat pod własnym kątem widzenia, a nie pod takim kątem koniecznie, jaki mają inni. Na tego który wypowiada swoje zdanie, bardzo demoralizująco działa śmiech i drwinki otoczenia. Jeżeli jest flegmatykiem, zniesie to ze stoickim spokojem i powtórzy za Sokratesem — „ja wiem, że nic nie wiem, ale wy nie wiecie, że nic nie wiecie", — jeżeli znów jest zbyt gorący, to gorzej. Szkoła przysposabia nas na obywateli państwa, którzyby potrafili sami trzeźwo i rozsądnie myśleć i działać, nie naśladować innych na ślepo. Nikt inny, tylko szkoła ma do spełnienia to bardzo ważne zadanie. Dlatego trzeba mieć wzgląd może na naiwne nieraz odpowiedzi, ale własne nieusłyszane i niewyczytane, oczywiście nieraz trzeba powtórzyć zdanie innych, zdanie mądre i niewzruszone, ale mówię o tych wypadkach, gdzie można zapatrywać się na dane kwestje indywidualnie. Powinniśmy mieć pole do wypowiadania swoich poglądów, niekrępowani ironicznymi uśmiechami lub drwinami kolegów i koleżanek, bo to do niczego nie doprowadzi. Powinniśmy brać żywszy udział w dyskusjach, w których można mieć dowolne zdanie, zakreślone oczywiście w rozumnych granicach. —

„CZARNY"

NAD MOGIŁĄ NIEZNANEGO ŻOŁNIERZA

Jedenasty listopad 1928 r.

Dziesięciolecie Niepodległości Polski !

Pan N. rozłożywszy się wygodnie na sofie myśli. Myśli i zastanawia się: co to jest ta Polska, dla której tylu głupców rzuca dobrobyt, uciechy, rodzinę, nawet sławę, aby nigdy do domu nie wrócić. A nie wiedział zgoła, że właśnie zginąć na wojnie, jest tą wielką sławą.

Prócz zwykłej obojętności dla spraw obywatelskich, łączyła się niechęć dla kraju z powodu utraty ojca i dwóch braci w czasie ostatniej wojny. Pan N. był złym obywatelem, ale dobrym synem i bratem.

To też z dniem rocznicy Niepodległości przyszły wspomnienia pierwszej rozpaczy po otrzymaniu wiadomości o śmierci drogich mu osób i żal, serdeozny żal za nimi.

Zmęczony myślami przymknął powieki. Nie patrząc, widział. Widział Barbakan, pomnik Jagiełły, a wśrodku tłum, niezliczony tłum ludzi.

— Co oni tutaj robią? — Co się tam stało ciekawego ?

Przyglądał się baczniej i drgnął:

„Mogiła Nieznanego Żołnierza“. . . . . . która dnia tego tonęła w powodzi kwiatów, narodowych wstęg i sztandarów

I tłum przyszedł, aby w dniu tym pamiętnym i uroczystym oddać cześć nieznanym i zapomnianym bohaterom.

Ktoś przemawiał

Na wszystkich twarzach widać skupienie, powagę i pełne dumy rozrzewnienie. Oczy zdawały się mówić: „Jesteśmy dumni, że urodziliśmy się Polakami“.

Mówił głośno i uroczyście. Mówił o Polsce dawnej, potężnej, kwitnącej Mówił o Polsce porozbiorowej — jęczącej w niewoli, skarżącej się na niewdzięczność swoich dzieci — błagającej o litość i wyzwolenie. Mówił o Polsce . . . wolnej, radosnej triumfującej — Niepodległej.

Wspomniał wreszcie o obowiązkach dobrego prawdziwego Polaka względem swojego kraju.

Skończył. W oczach słuchających łzy.

Z tłumu wysunął się młody mężczyzna z cudnym wieńcem białych róż

Podszedł bliżej, złożył wieniec na mogile i uklęknąwszy u jej stóp załkał cicho.

W tłumie zawrzało, zakotłowało.

— Kto jest ten młody człowiek? — Kogo mu zabrała ta okrutna wojna, że tak długi przeciąg czasu nie zdołał ukoić jego cierpień?

Pan N. przyglądał się również z zaciekawieniem. Patrzył i nie wierzył własnym oczom. Przecież to on sam klęczy i płacze. Nie, to niemożliwe On nad „Mogiłą Nieznanego Żołnierza“ ! . . . .

Nagle zapanowała straszna, przejmująca cisza. Tłum utkwił w mogiłę przerażone oczy. Powoli, powoli, podnosi się płyta grobowca. Słychać szmer, chrzest broni.

Wszystkich przeszedł dreszcz zgrozy.

Zaczynały ukazywać się jedna po drugiej postacie naszych polskich żołnierzy — bohaterów. Zbroczeni krwią, — jeden bez ręki, inny bez nogi, z krwawemi ranami.

Świadectwo okrutnej wojny stanęło przed oniemiałym tłumem. Przypomniał się wszystkim „Cud nad Wisłą“ — Stanęła przed ich oczyma czerń bolszewicka, ta zgraja ciemna, która szła z cynicznym uśmiechem na podbój świata w imię proletarjackiej dyktatury. I tej nawale wschodniego barbarzyństwa, tej ciemnej plamie Europy stawiał bohaterską pierś polski żołnierz.

Poszedł do ataku. Padł na ziemię, kulą zbrodniczą trafiony, z pieśnią na ustach: „Nie damy ziemi, skąd nasz ród“.

I poszedł żołnierz polski i obronił — nie tylko Polskę. Obronił całą Europę. Nie pozwolił jej shańbić, ni styranizować. Dlatego też oczy bohaterów żołnierzy pełne były dumy radosnej, Były pełne bezgranicznego szczęścia.

— Jezus Marja! Ojcze, bracie! rozległ się krzyk przeraźliwy młodego mężczyzny.

I cisza.

Na wszystkich twarzach widać było oczekiwanie czegoś strasznego i niezwykłego. Jakiś wyrok zawisnął w powietrzu, wielu padło na kolana, błagając biednych, wynędzniałych żołnieży o litość i przebaczenie.

Starzy korzyli się przed dziećmi Lwowa, przed orlętami, które opuszczały dom potajemnie, by bronić ziemi „skąd nasz ród“. Okryci chwałą, jak mgłą powiewną, dumni ze swej biedy i kalectwa, patrzyli na klęczący tłum, który był w tej chwili wobec nich tak . . . mały !

Jeden z pośród grona bohaterów wolnym majestatycznym krokiem podszedł do stale klęczącego młodego człowieka i rzekł surowym głosem:

W twych oczach widzę łzy i boleść Płaczesz po mnie, i braciach swoich, lecz wiedz że to pusty żal. Płacz raczej nad swoją niedolą i biedą. Płacz, że nie poszedłeś razem z innymi, aby umrzeć śmiercią chwalebną, umrzeć za świętą sprawę, w obronie wiary i wolnośoi. Nie jesteś Polakiem, nie jesteś patrjotą, nie jesteś prawdziwym człowiekiem ! Ty, który teraz wylewasz łzy po nas będziesz zazdrościł, że nie możesz należeć do naszego grona Będziesz zazdrościł nam naszej chwały i szczęścia. Będziesz płakał, żeś nie spełnił najpierwszego i najświętszego obowiązku dobrego obywatela.

Potem położył rękę na ramieniu syna i patrzył mu długo w oczy, jakby chciał przelać w niego swą ogromną serdeczną miłość dla Ojczyzny.

— Ojcze, przebacz i ratuj . . . . .

Wizja zniknęła. Pan. N. znalazł się znowu w swoim pokoju. Powiódł dokoła błędnym wzrokiem, a w uszach huczały mu słowa powtarzane przez echo:

— Płacz, żeś nie poszedł razem z innymi, aby walczyć za świętą sprawę, w obronie swej wiary i wolności.

Nie jesteś Polak em, nie jesteś patrjotą, nie jesteś prawdziwym człowiekiem.

Wicra.

JENIEC

(Opowiadanie osnute na tle życia Wschodu.)

W piękny, pogodny letni dzień na progach swych sakli siedzieli Czerkiesi. synowie Kaukazu.

Wspominali o napadach, o rabunkach, o piękności swych niedostępnych gór, o koniach rączych, o zbrojach, o nieomylnych ciosach szabel i celnych strzałach. W tem w oddali ukazał się jeździec. Pędził on szybko na swym koniu, wlokąc na arkanie jeńca.

— Oto giaur! — krzyknął jeździec.

Na krzyk ten cały auł (wieś tatarska) zbiegł się. Otoczyli jeńca, z groźbą spoglądali na niego, lecz on ich krzyków, ani gróźb nie słyszał, twarzy wrogów nie widział, zdawał się być nieżywym. Unosiła się nad nim śmierć. —

I długo młody jeniec leżał tak zapomniany przez wszystkich, rzucony jak pies. Wreszcie, ocknął się; była pogodna noc. Chciał wstać, lecz uczuł dotkliwy ból w całem ciele, a na nogach kajdany. Z wielkim wysiłkiem uniósł się, spojrzał: z jednej strony sakle (domki tatarskie), z drugiej góry, góry, dzikie niedostępne, groźne, a zarazem piękne, przecudne.

O ucieczce mowy być nie mogło. Opadł bez sił, złamany na duchu. Głód i pragnienie dokuczały mu strasznie, głowa pękała z bólu.

I tak przeleżał noc. W dzień cały auł, zdało się, że wymarł, ni żywej duszy, — wszyscy poszli na pola. — Dopiero ze zmrokiem ozwały się w oddali nawoływania, krzyki, rozmowy. To Czerkiesi wracali z pól. Wnet ożył cały auł, pozapalano ogniska, szykowano posiłek — i znowu nadeszła cisza, bo cały auł zatonął we śnie.

O jeńcu nikt nie pomyślał. Tam hen daleko, matka czeka na niego. Chciał do niej prędzej powrócić, odłączył się od oddziału, — i dostał się do niewoli. Napadli go zdradziecko i zabrali.

W tem wśród ciszy nocnej dały się sły-

szeć ezyjeś kroki, lekkie, ostrożne stąpanie.

Ktoś zbliżał się ostrożnie. Gdy tak wzrok wytęża, by ujrzeć kogoś. stanęła przed nim młoda Czerkieska. Patrzył, milcząc; zdawało mu się, że to sen, leoz nie, bo oto klęka przed nim i do spragnionych ust przechyla dzban z kumysem. Na twarzy jej widać wiele dobroci, zdało się. że chce go chociaż zwrokiem pocieszyć, bo mowy jej nie rozumie, chce naprawić zło, które jej rodacy mu sprawili

Pokrzepiony jeniec wstał i usiadł na kamieniu, a przed nim długo siedziała Czerkieska ze łzami w oczach. Żal jej było, że taki młody musi cierpieć tak wiele.

Przeszło wiele dni.

Czerkiesi dziwili się, że jeniec nie tylko nie umiera, lecz poprawia się na zdrowiu. Poczęto go pilnować, lecz wiedząc, że wszystko znosi cierpliwie, poczęto go nawet szanować za tę siłę ducha, zdjęto mu kajdany i pozwolono chodzić z początku po aule, a później i dalej w góry, lecz z chłopcem, który go pilnował. Wszystko go ciekawiło i zajmowało, tak, że ta niewola przykrą zbyt nie była; uczył się mówić po tatarsku, co jeszcze większy szacunek wzbudziło u jego wrogów. Poczęto go nawet zapraszać do domów znaczniejszych Czerkiesów i z czasem bardzo go polubiono.

Lecz jedno wielkie miał jeniec zmartwienie. Nigdzie nie mógł spotkać tej Czerkieski, która pierwsza mu okazała współczucie. Nieraz zdawało się mu, że już ją widzi, poznaje po ruchach, lecz cóż z tego, gdy twarz stale była zakryta czadrą.

(Czadra— duża chustka jedwabna, w którą cała kobieta mogła się zawinąć odkrywszy tylko oczy, a tylko w tem okryciu wychodzą Czerkieski na ulicę).

(Dokończenie nastąpi)

Zosia H.
Kl. VII.

JANTEK PIETRUCHA.

Jantek Pietrucha niechce jakoś łazić do szkoły.

Muter, — pado Jantek — jo nie pójda do szkoły bo jo ta nie synek gospodorza, to sie tyż nie posuje na nos tak dufać i posyłać mie do gimnazyjum.

— Aleź, mój Jantku — powiada mu muter — przeca my chcymy z fatrym, żebyś był księdzem

— Co muter? Jo nie słysza na lewe łoko. jo księdzym? Ha! Ha! — byłby tu ze mie ksiądz, jak nie przymierzając z djobła - łorganista.

Muter Jantkowa rozczerwieniła sie nad swoim synalkiem, jak modo frela — pogroziła Jantkowi i łobiecała, ze wszystko powie fatrowi. Jantek sie trzyns cały, bo sie łogromnie fatra boł — ale myśli se:

— Jo ta już mom cztyrnoście lôt, i jo sie byda fatra boł? No! przesły te cosy, co by sie synolek swoigo łojca boł i przed nim sie kłanioł i mu pedzioł może „Panie fater“. Jo mom swoja wolo, a nie fater — niech ta Julek bydzie księdzym. Jo sie wezma Maryna Łujcyna, bo mi sie podobo, a jo ji już łobiecoł, że jak byda mioł dwadzieścio lot to trzosnymy weseliskiem.

Co ta mioł do godanio Jantek — musioł łazić do szkoły i fertig! Łojciec mocno wyklupoł mu galoty, że mu i z łeba wyfrugało, to ło jej wolnej woli i ło tym weselisku.

Kaj tam — Jantek becoł, nic nie pomogło — fater jego mioł serce z kamienio — jak padoł cynsto Jantek Łon zäś, jak nie chcioł się łucyć, to mu rechtor, co to pado jom na niego nauciciel, naloł mu tak na ryncysko kijem, że trzy dni nie mógł federhaltru trzymać w ryncysku.

Ale co padocie na to? Jantek mioł cztyrnaście lot — a jeszcze nie był u spowiedzi! chodził dopiero na nauka przed spowiedziom i już sie zbliżoł tydzień, kiej Jantek mioł ijść do pierwszyj spowiedzi. Bo musicie wiedzieć, że ta pierwej nie śli tak wczas do spowiedzi, jak teroz. Faroż w

w kościele pedzioł tyż chłopcom, żeby sie ta dobrze przygotowali do spowiedzi

— Nojlepii bydzie, jak wy wszystciutkie grzychy napiszecie na papiorze biołym, nałucycie je na pamienć, no i jak byndziecie sie spowiadali to tak, jak „łojcy nasz“ . . a jak fto mo licho pamienć, no to bydzie w suchatelnicy cytoł. Bydziecie widzieć, jak wom po spowiedzi bydzie dobrze tak wele serca!

Jantek se to zapamientoł, a że była sobota, to mu tyź muter z targu przynieśli biołego papioru i nowego federhaltru. Zomkli Jantka do komory, by dobrze rozwożoł, co zgrzyszył i nic nie zapomnioł.

Jantek myśli . . . boi sie napisać te grzechy, bo był niemały buks. — Zacyno:

1) kucharka farożowa miała cornego kota i łon mie roz podropoł, no to żech wzioł go do stodoły, utnoł mu siekierom łebiski — i zakopoł do łogródka, a jak mi sie na drugi dzień kucharka pytała, kaj jeji cicia — toch pedzioł, że go psy zagryzły.

2) Co rano przez słomka wypijom mutrze mlyko tak, że śmietana była zawsze na wierzchu, a z spodu mlyko ubywało. Muter sie zowsze dziwili — a roz rozpedzieli to somsiedziom, no i jo tyż jem rodzoł, by komora, kaj majom mlyko dali łod faroża wyświencić.

3) Somsiadowi naszymu, młynorzowi poderznoł jo miechy tak, że mu sie mołka suła z wozu, a łon mego koleksa za to zbił.

No ale to nie było wszystko, wiele—wiele jeszcze Jantek mioł grzechów Na samym szlusie nakrykloł fajnie: „Z poważaniem Jantek Pietrucha“

Pojod se dobrze, łoblyk nowo jakla i poszoł pryndko do kościoła. Każdy stoł w wielkiej skrusze, a nasz Jantek niby nic, grzechy mioł w kapsie, no jak przyjdzie dran, to bydzie cytoł. Co roz to sie zbliżo na niego, teraz łon mo sie spowiadać. Jantek zocyno szukać kartka z grzychami — przewroco wszystkie kapse — łobszukuje wszyndzie — nikaj nie ma, a tu faroż sie go pyto a łon ino szuka tych swoich grzychów.

— Farozicku — jąkoł nareście — jo moje grzychy stracił. Faroż jednak dobry pomogoł Jantkowi zbierać myśliska, no i Jantek wyksztusił swoje grzechy — ale mocno go faroż sprzezywoł i dużo mu zadoł pokuty.

Ijdzie Jantek z kościoła przez wieś z minom, jakby już był świentoszkiem. Przechodzi koło fary — kucharka faroża prawie drzewo rombie — Ze zodku Jantka łaps i zacyno mu loć wielkim kijem:

— Jo ci dom, mojiego cicia zabiłeś — a ty psiejucho — ty chachorze — ty giździe — i jeszcześ mie łocyganił!

Jantek rycoł w niebogłosy — ale kucharka fest mu wybiła, aż już ji dychu brakło zgorszynio i puściła biednego Jantka Jantek leci pryndko do chałupy — przed chałupom stoji jego muter, rynce mo za zopaskom skryte i już wita Jantka:

— Pòjdzinoś mój synalku!

Jantek nie bardzo sie zbliżył, a tu rynce muter wyciagli za zopaski i zacli mu loć—

— Ty, giździe! to tyś te mlyko wychlapoł, kozoł żeś jeszcze wykropić komora.

Jantkowi sie aż źle zrobiło — wszystkie kościska go bolały — pomyśloł se:

— Pieruchskie uczucie po spowiedzi — faroż to ta wszystko skwoli — i zaroski mu przyszło do głowy — że łon stracił ta karta, a ktoś musioł jom znaleść i polecioł do mutry i kucharki farożowej. Z tego wielkigo bolu poszoł se Jantek ukłaś na pasieka za płotym młynorzowym, chciał patrzyć na wody i zapomnońć ło bolach.

Usnął tyż tu, ale naroz zbudził go bol — a łuszyska go tak bolały, że fest rycoł — chwytał sie za nie, ale już inszy za nie rwie — a był to młynarz, ftory widzioł Jantka i chcioł sie zemścić na Jantka a że była dość sporo dziurá w pocie, zacnoł Jantka za uszyska rwać, aż tyn sie kuloł z bolu i wyrwoł sie młynarzowi. Przyleciał do chałupy, ani siać — łuszy mu spuchły.

Na drugi dzień do kościoła musioł iść — wstoł jak strzaskany — ledwie umioł sie łoblyc w nowy ancug poszoł do kościoła. Kiej przyszoł z kościoła — dzisiaj muter inakszej go witali — godali, żeby sie siod i śniadanie zjod — ale kajta Jantek móg siedzieć — po stojoncku wypił kawa i pòszoł do szkoły. Teraz dopiero zacnoł sie łuczyć, bo sie padoł:

— Byłbych sie napamienć wyłucył mojich grzychów — nie byłby żodyn wiedzioł ło nicem — a tak to i łoni mi dali majniges. Teroski byda sie fest łucył, jak to fajnie mieć trochu wiencyj łoleju w łebie niż godki w gębie. Bo na Śląsku, to ta nie nielikotnie fater patrzom, jak synalek przyniesie im zły zeugnis, abo niechce sie łucyć. Majom coś — już nie do łopisania — no takie łechciwe ryncysko — co to zaroski chce „übować" — a że robiom na „grabie" — albo w hucie — to jom majom tak ciężkom, że nie chciołby żodyn z niom dostać.

Rutka M.
kl. VII-ma.

KŁOPOT WIERSZOKLETY.

Chcę wiersz napisać, lecz nie wiem sam
Od czego zacząć go mam?
Największy kłopot to wierszoklety:
Chcę pisać — lecz co? — nie wiem niestety! —

Czy bohaterów mam sławić czyny,
Co w walce krwawej brali wawrzyny
Czy też rycerskie obudzić grono,
Co w Tatrach śpi już lat wiele pono?

Czy opisywać fantazji kraje
Lub starożytne wielbić zwyczaje?
A może pisać o ludziach — świecie,
Wśród których dzisiaj wegetujecie?..

Czy z tchnień Erosa snuć wiersze?..
Chwalić anielskie miłości pierwsze.
Może zdradzonej ból śpiewać bogdanki,
Malować mgliste wieczory, poranki?

Czy pisać dumki rzewliwe — smętne,
A może fraszki, śmieszne — wykrętne,
Czy ody, pełne iskier zapału —
A może dramat kreślić pomału? —

O czem mam pisać, wybierzcie sami,
Czy śmiać się chcecie, czy zalewać łzami? —
Nie chcę was smucić — gdy się weselicie —
Nie chcę weselić — gdy się smucicie!

L. WENG.

PAN PREZES.

— Dać kolację proszę pana? — dyć już czs. Tak jakoś pan bałamuci Wystygnie wszystko, a późniei to znowu będzie moja wina. Jak zawdy. A bo to nie dbam, czy co? Mówię i mówię, ale co tam pan sobie z tego robi. Zawdy kobieta źle mówi

Pan prezes zrobił minę stracha na wróble. Okulary biegały mu z czoła na koniec nosa i z powrotem. Ręce się trzęsły febrycznie. Lawina gniewu miała spaść na biedną starowinę.

— Co to ma znaczyć? Wojciechowa znów zaczyna swoją litanję! Pobożność jest dobra, ale nie tutaj, gdzie ja pracuję. Przecież ja nic nie mogę zrobić, bo rano jedz! przejdzie kilka godzin — jedz! i na wieczór jedz! Skaranie boskie z wami!

Czy Wojciechowa myśli, że ja tylko o jedzeniu myślę? Możecie iść — sam was zawołam!

Wojciechowa pokręciła głową i gderząc pod nosem, wyszła do kuchni.

— Jak tu być żoną takiego pana? Co też ta nieboszka pani musiała wycierpieć z takim człowiekiem! Chwała Bogu, że ja nie wyszłam za mąż. Służącą jestem, a mam krzyż Pański, a cóż dopiero, gdybym miała takiego chłopa! Oj, niedoczekanie wasze, rodzie męski! Każdą dziewczynę ostrzegę, co to jest mężczyzna. A jeszcze trzeba zamknąć drzwi do sieni! Boże uchowaj! Gdyby tak kto wszedł, byłaby znowu moja wina.

— Uu, jaki wiatr! Mróz pewnie przyjedzie. Zdrowaś Marjo, łaskiś pełna . . .

— Już nie mogę, człowiekowi spać się chce. Panie prezesie, toć naprawdę trza nie mieć sumienia. Przecież to już późno, i wiatr jakiś zły się robi.

— Zamykać drzwi! mówiłem, że zawołam! Niechże Wojciechowa nie przerywa. Liczę, liczę i znowu muszę od początku. Ze też baba nigdy człowieka nie zrozumie! Czy ja mam Wojciechowej pacierze liczyć? zamknąć drzwi!

— Już, już proszę pana. Uu, jaki wiatr —Błogosławionaśty między niewiastami. . .

. . . — A więc od pięciuset dwadzieścia procent, he, he, he, dobry czy nie dobry interes?

— He, he, he, ! — powtórzyły wszystkie meble chórem

— Trzeba jeszcze raz policzyć! Jeżeli dam dziesięć tysięcy . . . Za głośno powiedziałem, jeszcze Wojciechowa usłyszy i gotowa baba rozgadać, że mam pieniądze.

— Tak, tak, tak, tak! — powtórzył wiatr.

— Ale jakoś się zimno robi Trzeba sobie jednego, to dobrze robi No, na zdrowie kochana butelko, raz dwa i trzy!

Coś jakiś płytki kieliszek oszukany, grube szkło. No to jeszcze jeden. Tak, teraz wystarczy, trzeba się obliczać. Ciężkie czasy, pieniędzy niema — a tu ludzie myślą, że człowiek ma, no ma, co to jest?

— Masz, masz — powtarzał djabelski głos w blado oświetlonym mieszkaniu Trzeba się już pośpieszyć. Policzyć — zamknąć, i niech przyniesie kolację

Muszę także jeszcze rozważyć, na jaki procent pożyczyć. Przecież nie należy się dać oszukać. Przedewszystkiem sprawiedliwość na chwałę Bogu!

— Wojciechowa, Wojciechowa, kolację!

— A dyć idę! Niech pan prezes je i może już spać można iść.

Pan prezcs zabrał się do kolacji, oglądając skrupulatnie, co mu dała Wojciechowa.

— Oj, to będzie drogo kosztować. Tylko niech się Wojciechowa oblicza. Później znowu pieniędzy i pieniędzy — a tu skąd wziąć? Powinna się Wojciechowa uczyć oszczędności!

— Stary sknera! — przemknęło się szyderczo po ustach gospodyni.

— Stary sknera! powtórzyły portrety przodków, wiszące na dawno malowanych ścianach.

— Stary sknera! — trąbił po świecie swawolny wiatr.

I znowu było cicho. Wojciechowa kończyła pacierze. Pan prezes kończył kolację

Tylko figurki na biurku kręciły figlarnie główkami, szepcząc sobie: „he, he, stary głupi sknera. Tak, tak, stary głupi sknera“ —

Wiera

ZDOBYCIE PUHARU

Wiemy, jakie znaczenie ma sport. O tem że wpływa on dodatnio na rozwój fizyczny młodzieży, że potęguje jej siły i hartuje zarówno ciało, jak umysł — pisano już wiele. Placówkami, poświęconemi tej dziedzinie są kluby sportowe i przysposobienie wojskowe.

Przysposobienie wojskowe jest istotnie szkołą, która dba o fizyczną sprawność ciała i o wyrobienie silnej woli. W celu wykazania postępu, jak również w celu zachęty do dalszych ćwiczeń, urządzane bywają coroczne zawody, które są wyścigiem sprawności, zręczności i spężystości wyćwiczonych mięśni.

Prócz corocznych zawodów urządza się w międzyczasie jakby próbę zawodów na większą skalę. Takie zawody mają cel propagandowy; mają bowiem za zadanie zwrócić uwagę tych, którzy czas spędzają niewiadomo gdzie i jak, na ważność i znaczenie sportu.

Zawody takie miały miejsce w Roździeniu—Szopienicaah w dniu 22 marca b. r. Do zawodów, na których program składał się marsz i strzelanie (dla drużyn męskich), stanęło 10 drużyn, z tych trzy drużyny żeńskie Współzawodniczyły dwie drużyny żeńskie P W K. i drużyna hufca szkolnego naszego Gimnazjum.

Odległość do przebycia była niewielka, bo zaledwie trzy kilometry. ale na twarzach zawodniczek malowała się niepewność i zniecierpliwienie.

To wszystko pierzchło jednak z pierwszym krokiem wymarszu, a nawet ochota i zapał wzrastały z każdą chwilą, która zbliżała nas do celu, a drogę przebytą pozostawiała za nami.

Równym, miarowym krokiem przebyłyśmy bez przeszkód drogę, podczas której nawet wiatr nam sprzyjał, wiejąc w pomyślną stronę jakby chciał nas popędzać

Kiedy znalazłyśmy się za miastem, na drodze zupełnie otwartej, nie przygniatanej z dwóch stron murami domów, wtedy zapał i ochota wzrosły i zdawało się nam, że nie idziemy, lecz płyniemy. Tak miłym wydał nam się ten marsz, że niejedna radaby tak całe życie maszerować, byle wiał wiatr pomyślny i ludzie spoglądali na nas z tak rozjaśnionemi twarzami, jak wtedy . . . . —

— I szłyśmy wszystkie ochoczo, radośnie, wesoło, a w duszy odzywał się cichy szept: szybciej ! szybciej ! pierwsza nagroda czeka ! ! ! —

Już ostatni zakręt; w zwartym szyku drużyna wróciła na miejsce startu, które było teraz metą.

Po naradzie sędziów, wśród ogólnej ciszy, ogłoszono wyniki zawodów.

Hufiec szkolny żeński zdobył pierwsze miejsce i . . . — puhar ! Zadowolenie malowało się na naszych twarzach, potęgowane przychylnem odnoszeniem się obecnych i zachętą do dalszej pracy i hartu. —

Miło jest dokonać czego, choćby rzeczy niewielkiej, gdy widzi się życzliwość otaczających.

Z zawodów tych, w których hufiec żeński po raz pierwszy brał udział, wyniosłyśmy korzyści moralne, a zarazem praktycznie przekonałyśmy się, jak wielkie daje sport zadowolenie wewnętrzne.

Sportowi cześć !

C. P. kl. VII.

KĄCIK NAJMŁODSZYCH.

WIOSNA.

Jaskrawym swym płaszczem pokrywa wszystko, co ją otacza. Tam gdzie niedawno była puszysta pierzyna widać lśniący dywan. Woda strugami wpada do stawu, który lśni błękitnie, odbijając sklepienie niebieskie. W sadach wszystko się zmieniło.

Co to za panny w białych sukmanach stoją w sadzie?

To grusze!

Przez ich młode, zielone listeczki i ich białe kwiaty, przebijają się promienie słoneczne. Nad stawem stoją kaliny i krzaczki, przeglądając się w lustrze wody.

W przestworzach niebieskich śpiewają skowronki, których odgłosy dochodzą do Najwyższego.

Na kwiecistych łąkach, które lśnią jak dywany, roją się owady, a kolorowe motyle kąpią się w słońcu i nektarze kwiatowym. Gdzie tylko wejrzę widzę ruń wiosenną, kwiaty i. t. d. Kmiotek bierze pług i jedzie w pole orać czarną pulchną glebę. Raj życia!

Ptaki śpiewają, a zwierzęta pasą się na łące. Kim jest ten, który to wszystko dał? To wszystko od króla, królującego od wieków! Tym królem jest słońce! Ma ono cztery córki, Wiosnę, Lato, Jesień i Zimę. Nam zesłało teraz najmłodszą córeczkę Wiosnę, która ozdabia świat grą barw przecudnych i swoją urodą.

Antoni Mol kl. II.

MIŁY SĄSIAD.

Przychodzę do szkoły,
A mój sąsiad je chleba kawał spory,
Jest jakiś markotny,
Do wszystkiego leniwy, powolny.

Zapytasz się go, co mu się stało?
Odpowie ci, że go kocisko podrapało,
Idąc zaś ze szkoły,
Skacze w cuchnące rowy.

Pasąc zaś krowy,
Kręci się koło Maćkowej stodoły,
A Maciek wściekły ze złości,
Przysięga, że połamie mu kości.

Wieczorem mówi: „Patrz, co mię spotkało,
Moje cielę gdzieś się zabłąkało,
Kiedym podszedł do krzaka,
By tam złapać ptaka!

„I wszystko na marne!
Pościeliłem sobie łoże twarde“.
Mając zaś złość w pamięci,
Sciska swe brudne pięści.

I tak rzecze: — To ten Filaks bzdura [ladajaki,
Wygonił mi z krzaka ptaki,
Gdyby tylko o tem mama wiedziała,
Toby mnie jak psa złajała.

I tak siedzi nad brzegiem skulony,
W myślach zatopiony,
I radzi, radzi,
Lecz nijak nie poradzi.

Bimbo kl. II.

KOMUNIKATY

Wszystkim współpracownikom, czytelnikom i przyjaciołom „Błyskawicy“ życzy serdecznie „Wesołego Alleluja“

KOMITET REDAKCYJNY.

KÓŁKO DRAMATYCZNE wystawiło dn. 15 marca b. r po raz drugi „Moją córeczkę“ i „Złoty wiek rycerstwa“. Pod względem wykonania drugie przedstawienie przewyższyło premjerę i osiągnęło poziom zgoła nieprzeciętny. Wszelkie drobne usterki zostały bowiem w zupełności usunięte. Szkoda tylko, że Roździeń nie poznał się na tem i nie napełnił należycie kasy.

Przyjezdni bowiem stanowili większość widzów. Z pośród nich też wyszła myśl powtórzenia „Złotego wieku“ jeszcze raz — w Sosnowcu ! Podziękowanie z tego miejsca należy się p. Kwietniowi, który bardzo gorliwie zakrzątał się koło tej imprezy.

Z powtórzenia jednak „Wieczoru śmiechu“ w Sosnowcu Zarząd Kółka ostatecznie zrezygnował, by móc z kolei sięgnąć do t. zw wielkiego repertuaru i wystawić poza Roździeniem arcydzieło Juljusza Słowackiego — 5-aktowy dramat p. t. „Fantazy“. Prace przygotowawcze już są w pełnym toku.

Zarząd Kółka Dramatycznego zachęca ze swej strony wszystkich członków, by jak najczęściej uczęszczali na przedstawienia szkolne w Teatrze Polskim w Katowicach, bo tylko przez obserwację prawdziwie artystycznej gry scenicznej mogą przy własnych wysiłkach otrzymać odpowiednie rezultaty.

Pozatem donosimy, że ze względów taktycznych i praktycznych Kółko Dramatyczne zostanie przekształcone w Zespół Dramatyczny złożony jedynie z tych członków, którzy wykazali zdolności w kierunku gry scenicznej i nie zaniedbywali swoich obowiązków. Te zaś jednostki, które zachowaniem się swojem, bądź absentowaniem na próbach utrudniały pracę reżyserską — do Zespołu Dramatycznego nie wejdą, bo tam na kaprysy miejsca niema. Zespół będzie się powiększał lub redukował w miarę potrzeby, t. j. zależnie od wybranej sztuki. O składzie personalnym Zespołu decyduje p prof. Gołba.

NA FUNDUSZ PRASOWY „Błyskawicy“ złożyli: p. Tadeusz Klonowski 10 zł. i Rada Rodzicielska 20 zł.

Życzliwym ofiarodawcom składamy serdeczne podziękowanie.

PRZYPOMINAMY, że wszelką korespondencję pod adresem Redakcji wrzucać należy do skrzynki, znajdującej się przy wejściu do gmachu szkolnego. Za żadną inną drogę nie bierze się odpowiedzialności.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

AUTOROWI „Wizji“ Za dużo bujania, przytem echo Żuławskiego i Brauna, nie umieścimy. —

AUTORCE „Potęgi przyrody“ — Zbyt sentymentalne — nie umieścimy. Epoka Karpińskich i Kniaźninów minęła.

AUTOROWI „Pójdę ja na wiosnę“ (Bimbo). Nie umieścimy nie nadaje się. Prosimy jednak o coś lepszego. Ostatni wierszyk zamieszczamy — jako prymityw.

AUTOROWI „Legendy o kwiatku konwalji“. Radzimy więcej popracować nad formą wierszy, rytmiką i rymami. Widząc niezaprzeczoną pomysłowość, prosimy o dalsze próby.

ŁAMIGŁÓWKA CHACHARSKA
(ułożył „Pieron“)

an—an - bał —cap—chryst—cym – czem — da – djo—dek – drus - du—du—dy— en— en —ga – i—in —ka—korz—nik—nik pa— pe - pans—pie—ra —reń – ro - ron—szym — ty —um—wo—wo—wi—wiec – y ! — zi.

Zestowoie synki szesnoście wyzwisk artykularnych i nieartykularnych, a pirsze jeich lityry dadzom wom imie i nozwisko wielkigo polskigo muzykusa.

LISTKI PIERZYŃSKIE
ułożył „Pieron“.

Ks. Wigrizoń N. Odyniec

T. Z. Fetujók

Wicek G. Lufa

Te trzi pierzyńskie listki bydom wom rzykały, skiś kierych ludzi wom sie terozki galoty trzensom.

ROZWIĄZANIA ZAGADEK Z Nru 7.

SYLABOWA:

Początkowe litery zestawionych 13 wyrazów dadzą imię i nazwisko słynnego poety polskiego. Jana Kochanowskiego.

BILETY WIZYTOWE:

1) Kazimierz Pułaski 2) Gabriel Narutowicz.

ZAGADKA

Jajko należało do nicości, bo indyk jajek nie znosi.

Dobre rozwiązania nadesłali:

Ludwik Gołąbek kl IV, i Helena Pankówna kl IV. Pozatem otrzymaliśmy wiele innych rozwiązań, ale każda odpowiedź o indyku była zła. Nagrodę otrzyma Helena Pankówna kl. IV.

KĄCIK HUMORU.

SKĄPY.

Na lotnisko w pewnem mieście zgłosił się pan Szwindelmacher z żoną i teściową, w celu przejechania się do Warszawy. Cena za przejazd wydawała mu się jednak za wysoka i zaczął się targować. Zniecierpliwiony lotnik zgodził się przewieźć ich za darmo, jeżeli nie wydadzą okrzyku przerażenia. Podczas podróży lotnik wykonywał różne akrobatyczne sztuki, mrożące krew w żyłach, pasażerowie nie wydali żadnego głosu. W końcu lotnik wylądował, pytając się wysiadającego p. Sz. dlaczego ani razu nie krzyknął. Pan Szwindelmacher oświadczył: „Miałem już krzyknąć kiedy mi wypadła żona i teściowa, ale się wstrzymałem“.

NIC DZIWNEGO.

Spotykam na ulicy swego lekarza.

— Co się panu stało ? — pytam — Taki pan zdenerwowany.

— Cóż dziwnego! Leczę jednego z pacjentów od półtora roku na żółtaczkę, a teraz okazuje się, że ten łajdak jest Chińczykiem

Komitet red.: R. Dziurowicz, D Krawczyńska i C. Paluchówna.
Wydawcy: uczennice i uczniowie Kom. Gimn. Koed w Rożdzieniu.
Redaktor odpow. i kurator dr. Kazimierz Gołba — Drukarnia Kresowa w Krakowie.